

# Kazimierz Ogrodzki

---

## Adwokat modelowany słowem i piórem

---

Palestra 19/11(215), 54-58

---

1975

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

## Adwokat modelowany słowem i piórem

I

„Według mnie (...) o adwokacie (poza wyjątkowymi wypadkami) pisano zawsze wedle jednego wzorca i źle” — tak formułuje autor ciekawego artykułu<sup>1</sup> własny sąd o pisarstwie na ten temat. Wniosek swój motywuje brakiem właściwego zrozumienia roli i postawy pełnomocnika procesowego przez szeroki ogół, w którym znaleźli się również pisarze. Uważa się, że adwokat przegrywający sprawę kłamał, gdy walczył przeciw prawdzie, ujawnionej w procesie i ustalonej prawomocnym wyrokiem. Był więc nieuczciwy.

Jako jeden z wymienionych przez autora publicystów<sup>2</sup> pragnę zauważyć, że jego wywody i racje sprowadzają się jedynie do wycinka znacznie szerszej problematyki układów: prawo — moralność, prawda obiektywna — prawda subiektywna (w tym i adwokacka) — prawda procesowa; adwokat — inny współuczestnik procesu (sędzia, prokurator, przeciwnik); wreszcie *vox populi* — obraz literacki. Są to układy przedmiotowe i podmiotowe.

Wniosek A. Kiszy o powszechnym błędzie w moralnych ocenach tzw. procesowej metody poznawania prawdy przez spreczne wypowiedzi stron, o niemożliwości utożsamiania tej metody z nieuczciwością jednego z pełnomocników, gdy przegrywa — jest oczywiście słuszny. Ale też jest niepojęty dla nieprawników. Trzeba im to wytłumaczyć. I pisarzom — również. Inne muszą być oba wyjaśnienia, różne w konwencjach i argumentach. Czy my, prawnicy, a w szczególności adwokaci, uczyniliśmy coś w tym względzie? Oto ważne i chyba istotne zagadnienie.

Przypatrmy się przez chwilę obu adresatom, do których skierować by należało odpowiednią argumentację.

W oczach publiczności sądowej i czytelników recenzji z sali posiedzeń sądu adwokat bynajmniej nie podlega finezyjnym ocenom. Przyjęło się, że raz się go chwali za rzekome umiejętności „radzenia sobie bez skrupułów”, innym znów razem nie pozostawia się na nim suchej nitki, jako „że broni szubrawców”.

„Bohater” to w onych łaskawych lub niełaskawych na przemian oczach szczególny i nietypowy. Zyskuje to miano, gdy „podchodzi” przeciwnika (zwłaszcza oficjalnego w procesie karnym), gdy walczy „z tupetem, tj. z nieprzeciętną odwagą” albo też „unikiem”, by nie być trafionym, gdy ma tzw. „gadane” (żargon autentyczny) i zdolny jest w swych „zagraniach” (autentyczne) i w podsumowującym przemówieniu końcowym posłużyć się każdą bronią działającą w interesie klienta. Cóż w tym aspekcie znaczy jakieś tam kłamstwo czy kłamstewko, jeśli daje gwarancję zamaskowania lub wręcz ukrycia prawdy, groźnej dla osoby, która powierzyła mu prowadzenie swej sprawy? Legalista, skrupulant, bez sprytu i swoistej miary „cwaniactwa” sam się dyskwalifikuje. Tak mówią widzowie, słuchacze i zadowoleni z wyniku klienci. Wręcz odwrotnie zaś wypowiadają się przeciwnicy, którzy sprawę przegrali, złorzecząc w potępieniu lub obelżywym „uznaniu”.

Słyszałem kiedyś szczególnie jadowity dowcip w rozumieniu *vox populi*, epitet pod adresem umiarkowanego pełnomocnika strony: „To nie adwokat (...) — prelegent!”

<sup>1</sup> Andrzej Kisza: Adwokat i prawda w świetle francuskiej i angielskiej literatury klasycznej, „Palestra” nr 2 z 1975 r.

<sup>2</sup> Kazimierz Ogrodzki: Adwokat w literaturze pięknej, „Prawo i Życie” nr 10 z 1956 r.

A przecież z własnej praktyki wiemy dobrze (niestety, czasem po cichu), że najskuteczniejszą bywa akcja procesowa najbliższa prawdzie. Ale raz jeszcze zapytuję: kto i jak ma to wytłumaczyć „wrogom prelegentów”. Na razie odpowiem krótko: chyba nie my i nie „prelekcją”.

Przejdźmy teraz do pisarzy. Nawet ci sami autorzy piszą raz dobrze, raz źle — i to przede wszystkim o adwokatach. A przecież, idąc po linii rozumowania Kiszy, również prokurator często „przegrywa”. A i sędziemu wielokrotnie się zdarza uchylene lub zmiana jego wyroku przez wyższą instancję. Tutaj również można by się było dopatrzeć błędu w ocenie sprzecznych wypowiedzi stron lub w przedwczesnej ocenie, tzn. przed kontrolą rewizyjną, jako normalnych procesowych metod poznawania prawdy. A przecież nikt się o to nie pokusił...

Chyba adwokat jest łatwiejszym i mniej ryzykownym celem ataku dla obserwatora, nawet rangi pisarza, na tym śliskim terenie z pozycji ruchowej, która jest z zasady zmienna i zmieniająca się samorzutnie w zależności od wielu czynników przy wymierzaniu sprawiedliwości, takich np. jak znajomość prawa, zawłości proceduralne, prawne kwalifikowanie czynów, opinie biegłych z różnych dziedzin wiedzy, wielość kompetencji organów ścigania oraz władz i sądów.

Ileż to nauczyć się musieli Dostojewski, Tołstoj, Balzac czy Dickens i wielu innych, gdy chcieli pisać o prawie. Wiadomo, że Żeromski w zamysłach drugiego tomu „Przedwiośnia” i przedstawienia w nim procesu Cezarego Baryki jeszcze na krótko przed śmiercią konsultował się bodajże z adwokatem Paschalskim. Na palcach możemy policzyć pisarzy-prawników. Rzadkością jest światowej sławy francuski scenarzysta i reżyser filmowy André Cayatte. Przed dwoma laty, kiedy rozmawiałem z tym znanym kiedyś adwokatem paryskim, wyznał mi, że właściwie kontynuuje swój zawód prawniczy przy pomocy kamery<sup>3</sup>.

Galsworthy w „Lojalności” wystawił adwokatowi świadectwo z wysoką oceną. W „Srebrnej szkatule” nie musiał czynić tego samego. Mógł się mylić, jeśli generalizował.

Szaniawski z kolei, tak subtelny pisarz oraz wnikliwy i odpowiedzialny wobec widza przewodnik, w „Dwóch teatrach” nie przechodzi do porządku nad problematyką stanu wyższej konieczności. W drugiej części sztuki pogrąża się w zadumie nad bezkarnością czynu syna, który ratując swą liczną rodzinę w przeciążonej już łodzi, poświęca ojca. Żaden sąd — jak twierdzi — nie skaże za to sprawcy. Ale uważa ów stan normatywny jedynie za przesłankę prawnej motywacji. Obciążona ona jest mimo wszystko w ludzkim odczuciu jakimś niedosytem moralnym i do końca — nie dopowiedziana.

Zastanówmy się teraz „z ręką na sercu”, czy prawnicy w ogóle, a adwokaci w szczególności uczynili coś, aby obcy naszemu zawodowi człowiek więcej o tym warsztacie pracy wiedział i lepiej go rozumiał. Popularyzacji prawa i zagadnień prawnych przyświeca przecież nie tylko ten jeden aspekt od strony zawodów prawniczych, ale jeszcze i drugi — od strony zainteresowanego obywatela, któremu nie wolno w styku z prawem zasłaniać się jego niezajomością.

Ograniczamy się — rzecz prosta — w ramach artykułu do kwestii zaznajomienia ogółu z zawodem i pracą adwokata.

Być popularyzatorem to znaczy mieć zdolności i talent przekazywania informacji, prawdziwej i rzetelnej, choć jednocześnie przekonującej, a nawet sugestywnej. Powiedzmy to sobie szczerze, że w swym formułowanym logicznie i — jak to się potocznie nazywa — „suchym” języku w zasadzie nie potrafimy tego dokonać.

<sup>3</sup> Kazimierz Ogródzki: Moje spotkania z André Cayatt'em, „Prawo i Życie” nry 24, 25 i 26 z 1971 r.

Wyjątki spośród nas musiałyby być obdarzone darem obrazowego oddziaływania na słuchacza i widza. Najlepszy stylista normy prawnej czy też pisma procesowego, ba — najcelniej nawet argumentujący mówca sądowy, przeważnie nie będzie umiał tworzyć obrazu słowem i piórem. Wejdzie, jak to się dotychczas dzieje, na mównicę i zacinie czytać, tłumaczyć, komentować. Nie tędy droga.

Audytoryum „szerokiego ogółu” nie podda się racjom popularyzacji takiego typu. Współczesny człowiek, zmęczony całodzienną pracą, z trudem mobilizuje się po niej do uwagi czynnej. Nawet bierna jego uwaga musi być pobudzona przez słowo żywe, obraz zdobywczy, utwór porywający. One dopiero są w stanie owładnąć odbiorcą, a czasem nawet skłonić go do psychicznego zaangażowania i myślowego wysiłku. Nie umiemy tego dokonać, a w każdym razie nie możemy liczyć w podejmowanej akcji jedynie na własne siły.

A przecież wciąż tak czynimy. Czy, abstrahując od częstych opowiadań o sobie, staraliśmy się kiedy o prawdziwie komunikatywne dojście do owego „szerokiego ogółu”? Czy uznając za regułę, że nie umiemy na niego oddziaływać, zwracaliśmy się do twórcy, pisarza, publicyści o dopomożenie nam, o współpracę z nami w tym względzie lub o zastąpienie nas?

W nauce o organizacji i zarządzaniu (naukowej organizacji) podstawą powszechnie już stosowanej tzw. „analizy wartości” jest dzisiaj tworzenie zespołów twórczych, składających się z różnych specjalistów dla rozwiązywania konkretnych problemów<sup>4</sup>. Żadnego chyba doniosłego zadania w obecnym świecie coraz węższych i pogłębiających się specjalności nie da się rozwiązać przez jedną z nich tylko. Na skutek jednoczenia się interdyscyplinarnego lub międzyzawodowego można dopiero planować w ważniejszych zamierzeniach jakieś efektywne działanie i pewniejsze osiągnięcia.

Według mych spostrzeżeń jesteśmy jeszcze obcy tym metodom osiągania. Wprawdzie posługujemy się w swej pracy biegłymi z licznych dziedzin nauki i praktyki, ale są to tylko pracownicy „sztabowi”, tj. opiniujący, a nie „liniowi”, tzn. równouprawnieni w podejmowaniu decyzji.

Co o nas wiedzą setki tysięcy ludzi przewijających się w styku z prawem przez nasze warsztaty pracy? Wiedzą niewiele, a widzą, zwłaszcza w nowym profilu ekonomiczno-społecznym, spaczony i dość anachroniczny obraz. Konterfekt adwokata w krzywym zwierciadle można by już śmiało zaliczyć do antyków. I choć było tam nieraz wiele okazałej porcji talentu karykaturalnego (np. w XIX wieku słynne ryciny i płótna Honoré Daumiera z paryskiego Palais de Justice), nie znaczy to jednak, aby ów rodzaj był dzisiaj reprezentatywny dla prawdy o adwokacie lub o „adwokacie i prawdzie”...

Nie powracajmy zatem na stary i porośnięty już trawą szlak krytyki, przedstawiający nas jako pomocników bądź współsprawców w czynach ludzi siedzących za nami na sali rozpraw albo jako usłużnych faktorów lichwiarzy czy też wyzyskiwaczy.

Oczywiście, nie mamy obowiązku dopomagać oskarżeniu ani roszczeniom strony przeciwnej, nie mamy nawet ku temu prawa, gdyż powinniśmy działać jedynie na korzyść klienta. Jesteśmy wszakże powołani do niesienia pomocy człowiekowi zbłąkanemu, często nieszczęśliwemu oraz do jego obrony, gdy poczuł się osamotniony wobec bezpodstawnych zarzutów, do ustawienia go i pocieszenia, jeśli zarzuty są słuszne i jeśli musi za nie odpokutować, do powiernictwa i podania mu ręki w przeżyciach, w których znalazł się na krawędzi. Te trudne funkcje stanowią

<sup>4</sup> Piotr Rajca: *Analiza „wartości”, cz. I, „Informator Towarzystwa Naukowej Organizacji i Kierownictwa”, Gdańsk, z. 6—9 z 1974 r., str. 15.*

uzupełnienie uczestnictwa w należyтым stosowaniu prawa i w wyważeniu wszystkich okoliczności dla wyciągnięcia z nich trafnej oceny i przyjęcia właściwych konsekwencji. Zmarły przed laty znakomity obrońca warszawski adwokat M. Karniol tak właśnie kiedyś charakteryzował naszą rolę wobec napastliwej nieraz i nie przemyślanej do końca opinii z zewnątrz.

Ów dawny *procurator mercenarius* (płatny pełnomocnik procesowy), od którego miana wywodzi się jakoby nasz tytuł, nieco zaokrąglony w łacinie szlacheckiej, pełni nadal te same odpłatne, zawodowe funkcje. Jak słusznie twierdzi adw. Kisza, nie wolno ich utożsamiać z działaniem własnym *sua sponte*, podejmowanym z własnej inicjatywy. W jakże jednak odmiennych okolicznościach wykonujemy dzisiaj te funkcje. Okazały się chyba niezbędne, skoro prawo do obrony poręcza Konstytucja (art. 53).

Tak finezyjne i pełne subtelnych rozróżnień zadania muszą być przecież poparte wielkim i zdobywanym przez długie lata bagażem wiedzy fachowej, wciąż uzupełnianej na bieżąco. Oprowadzać po warsztacie trudnej pracy codziennej adwokata może on sam, lecz objaśnić o jej wartościach i znaczeniu społecznym musi ktoś, kto obdarzony jest zdolnościami popularyzatorskimi. Jak już była o tym wyżej mowa, nie posiadamy ich w dostatecznym stopniu czy też we właściwej liczbie grupie. Dlatego powinniśmy się zwrócić do ludzi słowa artystycznie eksponującego i ludzi pióra tworzącego przejrzysty obraz opisywanej treści.

Zorganizowana naukowo i skutecznie popularyzacja prawa, w tym również i problematyki adwokackiej, ma służyć takiemu właśnie zadaniu.

Do środowisk twórczych i artystycznych, do publicystów z centrów i stacji środków masowego przekazu trafić możemy przez ich związki i stowarzyszenia. Im to właśnie łatwiej nam będzie przekazać dorobek i specyfikę naszej pracy. Mamy prawo, a być może i obowiązek iść tam z żywą tematyką zawodu adwokackiego, opracowaną w odczytach, broszurach informacyjnych i zestawach z objaśnieniami. Jest ona dla pisarza, dziennikarza, reżysera teatralnego czy filmowego zawsze ciekawa, a nawet łakoma. Można by też uruchomić dla nich punkty konsultacyjne. Można by podać i zaproponować ważne, potrzebne społecznie tworzywa dla przyszłych utworów zarówno od strony problematyki adwokackiej jak i od strony zapotrzebowania szeregowego obywatela.

Tych kilka uwag nakreśliłem w przeświadczeniu, że 1) wykonalibyśmy prawdziwie dobrą robotę i 2) chroniłoby to nas na przyszłość od konieczności bronienia się lub ubolewania, gdy wina za nieświadomość leży także — i to w lwiej części — po naszej stronie. Pisarz nieświadomy i przechodzień z wypowiedziami nacechowanymi zwulgaryzowaną ignorancją przestaną przesłaniać prawdziwy obraz o adwokacie i prawdzie.

Dobrze się stało, że ten wciąż aktualny temat poruszył w swym źródłowo opracowanym artykule adwokat i doktor habilitowany (notabene z dziedziny cybernetyki) kolega Andrzej Kisza. Rzuca to nowe snopy światła na rozważania nad zawodowym „morale” i krzywdzącej o nim wersji oraz daje asumpt do szukania trafnej diagnozy i do przepisania omawianemu zjawisku skutecznej terapii. Oby tak cennych głosów znalazło się więcej dla dobra nie tylko samej kultury prawnej, ale i szeroko pojętego humanizmu, jaki powinien się krzewić w szeregach polskiego prawnictwa.

## II

A teraz pozwolę sobie, korzystając również z powołania przez kolegę Kiszę mego felietonu sprzed lat blisko dwudziestu, przedstawić pokrótce dość interesującą i autentyczną zarazem historię, jaka mi się w związku z tą publikacją wydarzyła.

Należałem podówczas — w 1956 roku — do zespołu organizacyjnego „Palestry”, której kilka pierwszych numerów ukazało się pod nazwą „Biuletyn Naczelnej Rady Adwokackiej”. Do jednego z nich mieliśmy z adw. B. Ołomuckim, dysponującym zasobną biblioteką, napisać coś o kulturze mów sądowych — zgodnie ze wstępną aprobatą kolegium redakcyjnego. Mój współautor ciężko zachorował, co spowodowało powstanie w dość późnym już terminie „białej plamy”, rozmiarów około arkusza wydawniczego. Pragnąc ją wypełnić jak najszybciej, napisałem w ciągu jednej nocy omawiany dziś przez kol. Andrzeja Kiszę felieton pt. „Adwokat w literaturze pięknej”.

Kolegium redakcyjne uzależniło — zgodnie z przyjętym zresztą zwyczajem — zakwalifikowanie materiału do druku od opinii dwóch recenzentów. Od ręki niemal przyjęto mi mój felieton w ówczesnym „Prawie i Życiu” prowadzonym pod redakcją sędziego Sądu Najwyższego Aleksandra Bachracha. W najbliższym też numerze został on opublikowany.

Jakież było moje zdziwienie, gdy po niedługim czasie otrzymałem wiadomość z Redakcji, że nadeszła dla mnie w sprawie tego felietonu korespondencja z... Hamburga. Zachowałem ją do dziś jako dowód dość wyjątkowego zbiegu okoliczności. Oto na blankiecie Uniwersytetu Hamburgskiego jego pracownik naukowy a jednocześnie adwokat dr Geilke pisze do Redakcji, że czytał mój artykuł i że ukazał się on jednocześnie z identyczną niemal publikacją w organie Związku Adwokatów Niemieckich „Anwaltsblatt”. Jest to mianowicie odbitka pośmiertna monografii adw. dra Friedländera, byłego przewodniczącego Bawarskiego Związku Adwokatów, pt. „Adwokaci i problematyka adwokacka w literaturze pięknej”. Autor listu załączył dla mnie numer tego czasopisma oraz tekst swojej wzmianki do niego o moim felietonie. Z treści odbitki poprzedzonej wstępem z danymi biograficznymi o Friedländerze wynika, iż był on znawcą prawa adwokackiego i jego komentatorem. Zmarł w Londynie, gdzie się osiedlił, uchodząc z Niemiec przed prześladowaniami hitlerowskimi. Praca jego, nieco obszerniejsza, cytuje 21 pozycji literatury światowej i poddaje te dzieła omówieniu. Ponieważ we własnym felietonie wymieniałem także autorów polskich, dr Geilke podkreślił aktualność problemu także na polskim terenie w relacji naszego piarstwa.

Dzieła wskazane w odbitce pt. „Adwokaci i problematyka adwokacka w literaturze pięknej” zawierają charakterystyki zarówno dodatnie jak i ujemne. Nie żądamy zresztą, wszyscy zapewne, modelu „pozytywnego bohatera” w adwokackiej todze. Artystyczny wyraz każdego utworu musi nosić w sobie cechy subiektywizmu autora — przecież to nie fotografia. Rzecz w tym, aby prawda o adwokacie i jego pracy była wolna od złych tendencji i bardziej rzeczycwista. A to już поближе prawdy obiektywnej.